NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata w Polsce: Kwart. bez odn. w miejscu 7140·— Mk. z przes. 7400·— Mk. Półrocznie 14800·— Mk. Rocznie 29600·— Mk. **Ameryka:** 8 dolarów rocznie. Numer pojedynczy 15 centimów.

Ceny ogłoszeń: Od miejsca wiersza milimetrowego jednoszpaltowego na str. ostatniej Mp. 200., od miejsca wiersza milim. jednoszp. w części redakcyjnej Mp 600.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Należytość pocztowa opłacona ryczałtem. **Numer pojedynczy 600 Marek.**

Rok XX. Kraków, 3 lutego 1923. Nr. 5.

Krwawy dramat miłosny



(Rycina do artykułu na stronie drugiej).

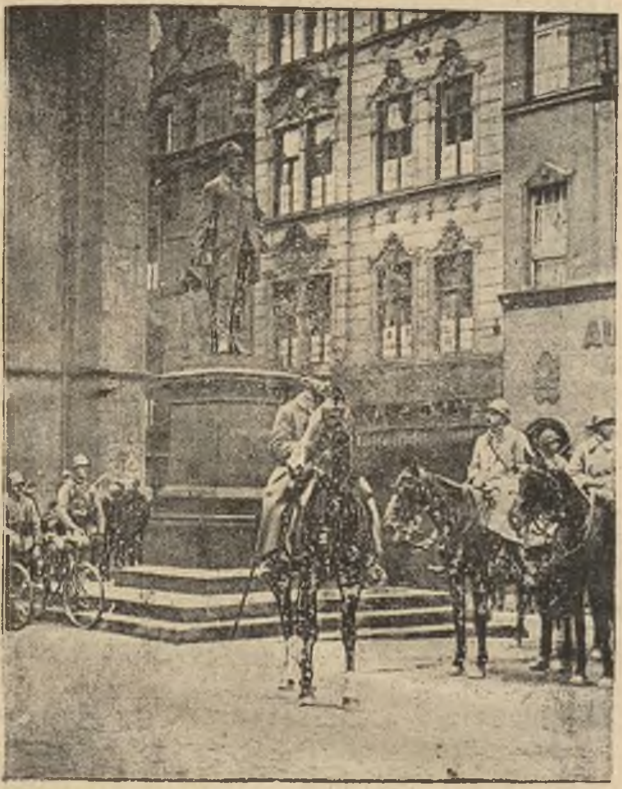
Nasza nowa powieść.

Rozpoczynając w niniejszym numerze druk znakomitej powieści *Ernesta Feydeau* p. t.

„MOJA SPOWIEDŹ"

nie mamy bynajmniej zamiaru podnoszenia jej zalet, nazwisko bowiem Autora, jednego z najgenialniejszych romanso-pisarzy francuskich, mówi samo za siebie. Z pod takiego pióra nie mogło wyjść nic, coby nie odpowiadało najdalej posuniętym wymaganiom nowoczesnej beletrystyki. Krytyka francuska tę właśnie powieść uznaje za jedno z najlepszych dzieł Ernesta Feydeau, nic też dziwnego, że przetłómaczono ją na wszystkie prawie cywilizowane języki, a we francuskim doczekała się kilkunastu wydań.

Tematem jej jest okres życia młodego człowieka, pożeranego miłością ku kobiecie, w której ręku był tylko igraszką. Wrażenia swe spisuje on w formie spowiedzi, wykonując w ten sposób zlecenie ostatniej woli jej małżonka, który wiedząc o wszystkiem, włożył nań ten obowiązek, jako pokutę dla lekkomyślnego młodzieńca mającą być zarazem nauką i ostrzeżeniem dla tylu jemu podobnych.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Gen. Viry, komendant 9. brygady dragonów przed pomnikiem Krupa w Essen w dniu zajęcia miasta.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Francuskie samochody pancerne przed pomnikiem Wilhelma w Essen.

Krwawy dramat miłosny.

(Do illustracyi tytułowej).

Charakterystyczną cechą obecnych powojennych czasów jest z jednej strony zmaterjalizowanie społeczeństwa, pogoń za zyskiem i chęć rozkoszowania się życiem, a z drugiej strony — także przeczulenie nerwów, które prowadzi do wyrzeczenia się najdroższego skarbu, bo życia. Obok orgii paskarstwa szerzy się obecnie epidemia samobójstw i dramatów miłosnych, kończących się śmiercią.

Jeden z takich dramatów rozegrał się w tych dniach w Grodnie. Przodownik powiatowej komendy państwowej Antoni Sadowski, przyszedł do biura komendy i tam wystrzałem z rewolweru zabił na miejscu pracującą urzędniczkę-maszynistkę tej komendy, Leonię Mackiewiczównę. Następnie zabójca skierował rewolwer do swojej głowy i znowu wypalił, poczem upadł ciężko ranny. Sadowskiego przewieziono do szpitala miejskiego, gdzie nie odzyskawszy przytomności, życie zakończył.

Tragedya rozegrała się na tle romantycznem. Miłość stała się przyczyną ohydnej zbrodni, bo spełnionej na bezbronnej kobiecie przez szaleńca, który następnie sam wymierzył sobie sprawiedliwość. Dramaty podobne rozgrywały się i dawniej, ale nie były tak częste, jak obecnie. Wojenna atmosfera unosi się jeszcze w powietrzu i miłość



Okupacya Zagłębia Ruhry: Parada wojsk francuskich przed ratuszem w Essen.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Tłumy odczytują w Essen protestującą odezwę rządu niemieckiego.

stała się bardziej brutalną, że się tak wyrazimy zmilitaryzowaną. Często rozbrzmiewa nie śpiewem słowików i szeptem zakochanych par, lecz hukiem strzałów rewolwerowych...

Okupacya Zagłębia Ruhry.

Na upór Niemców, gwałcących na każdym kroku traktat wersalski i uchylających się od spłat i świadczeń rzeczowych Francya znalazła wreszcie lekarstwo: okupacyę Zagłębia Ruhry. Gdy nie pomogły perswazye, gdy zuchwały Prusak, choć przemalowany na republikanina, drwił sobie z postanowień i zobowiązania, które podpisał, rząd francuski, aż nadto cierpliwy, musiał się chwycić środków przymusowych. Niemcy do ostatniej chwili nie wierzyli w możliwość okupacyi, dopiero smutna rzeczywistość otworzyła im oczy, gdy wojska francuskie rozpoczęły marsz. Prasa niemiecka zawyła z oburzenia, lecz jednocześnie opisuje szczegółowo, jak odbyło się zajęcie przez Francyę niemieckich centrów przemysłowych. Według tych opisów dnia 15. bm. liczne francuskie wojsko, uzbrojone od stóp do głów i do strzału gotowe, zajmując miasto Bochum. obsadziło najpierw dworzec kolejowy, pocztę i biura telegraficzne i kolejowe i pozostawiwszy w głównych punktach posterunki, ruszyło w śródmieście. Ulice miasta przedstawiały zwykły obraz, gdy silne oddziały kawaleryi i opancerzone automobile przechodziły przez nie na rynek. W tym czasie odbywało się w ratuszu zebranie Rady Miejskiej, która uchwaliła protest przeciw okupacyi, jaki będzie wręczony rządom zagranicznym.

Wkrótce potem ukazał się w ratuszu jenerał de France, komendant 3-ciej dywizyi kirasyerów ze sztabem i komendantem pułku piechoty Honillier'em i oświadczył, że zajmuje miasto i okręg na rozkaz jenerała armii nadreńskiej Degoutte'a. Na to prezydent miasta zauważył, że Bochum jako środowisko robotnicze, ogromnie jest dotknięte przez okupacyę i zaprotestował uroczyście przeciw okupacyi. Ale oświadczył, że zastosuje się pod przymusem do rozkazów.

Wojska okupacyjne posuwały się w trzech kolumnach. Południowa przeszła dolinę nad Ruhrą i zajęła miasto Witten oraz dalej Wetter. Druga kolumna maszerowała wzdłuż kanału Dorhmund-Herne do Rauxel i zajęła okręg przemysłowy Dortmundzki. Na trzy części rozdzielone wojsko posuwało się naprzód w specyalnych pociągach jedna kolumna po drugiej i zajmowało różne miejscowości według rozkazu. Jak widać ze wszystkiego okupacya odbyła się we wzorowym porządku wojskowym.

Niemcy stawiali naturalnie bierny opór i proklamowali na całem okupowanem terytoryum strajk generalny, czyniąc nawet próby sabotażu, ale stanowcza postawa władz francuskich udaremniła te zakusy. Opornych urzędników aresztowano i wywieziono, a robotnicy albo wcale nie przerwali pracy, albo po chwilowej przerwie do niej wrócili.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Jen. Rampont, komendant 4. dywizyi kawaleryi fran., w powrotnej drodze z ratusza w Essen w dniu 11. stycznia b. r.

Wystawa zbiorowa Kaspra Żelechowskiego.

Bardzo interesująco przedstawia się ostatnia wystawa w Pałacu Sztuki na Placu Szczepańskim. Wśród licznej plejady artystów zaprezentowali tam plon swej pracy w oddzielnych salach Kasper Żelechowski i Turek. W dzisiejszym numerze zamieszczając kilka zdjęć ze zbiorowej wystawy Żelechowskiego, która zajęła świetlicę, nie mamy potrzeby szeroko się rozpisywać. Któż nie zna Kaspra Żelechowskiego i jego artystycznej działalności? Należy on do starszej generacyi artystów krakowskich, ale łączy w sobie młodzieńczość z najświetniejszemi tradycyami krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych za czasów Matejki. Z niej wyszedł i jej pozostał wierny. Świadczy o tem świetna technika i barwność. Ale co cechuje specyalnie Żelechowskiego, to swojski, głęboko odczuty nastrój jego pejzaży i obrazów rodzajowych.

Osobny jego rodzaj twórczości — to portrety. I tu znać piękne tradycye dawnej szkoły — doskonały rysunek, świetna technika, szlachetność linii i piękny koloryt. Ale poza techniką i tu widać duszę artysty, który i z portretów (które są naprawdę portretami), tworzy prawdziwe dzieła sztuki.

Nowy dyrektor Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych.

Dyrektorem warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych został p. Karol Tichy, artysta malarz, dobrze zapisany w świecie artystycznym Krakowa. Urodzony w r. 1871 w Bursztynie, ukończył Szkołę Sztuk Pięknych w Krakowie, poczem na dalsze studya udał się do Monachium i Paryża.

Zwrócił na siebie uwagę doskonałymi rysunkami węglowymi i obrazem „Pogrzeb dziecka". Pracował również na polu sztuki stosowanej (szczególnie w urządzaniu wnętrz).

B. minister kultury i sztuki Przesmycki powołał p. Tichego do ministeryum, gdzie dał się poznać jako dzielny urzędnik.

Z Konwentu OO. Bonifratrów.

W poprzednim numerze pisaliśmy obszernie o otwarciu szpitala OO. Bonifratrów w Krakowie. Szereg zasłużonych działaczy Konwentu OO. Bonifratrów uzupełniamy obecnie podobizną magistra O. Eliasza Ulmana, który zajmuje ważny posterunek wychowawczy młodzieży zakonnej w nowicyacie.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Artylerya francuska w przemysłowej dzielnicy m. Essen.



Okupacya Zagłębia Ruhry: Manifestacya przed pomnikiem Bismarka w Berlinie przeciw okupacyi Ruhry w dniu 14. stycznia b r.



Wystawa zbiorowa Kaspra Żelechowskiego: Kasper Żelechowski (autoportret.)

„Ku-Klux-Klan".

Tajemnicza ta nazwa obiega dziś prasę całego świata. Jest to tajne stowarzyszenie, rozszerzające coraz bardziej swą działalność w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, mające jako główną zasadę walkę o supremacyę rasy białej nad czarną. Myli się ten, kto sądzi, że jest to jakiś nowy związek, obecny „Ku-Klux-Klan" jest bowiem tylko dalszym ciągiem, a raczej wznowieniem tradycyi stowarzyszenia, założonego jeszcze w r. 1866, w czasie wojny Stanów południowych z północnymi. Wówczas powołano je do życia w imię walki przeciw rasie czarnej, aby zaś nadać mu więcej uroku i tajemniczości, posługiwano się dziwacznymi kostyumami członków, symbolicznemi nazwami ich kierowników i organizacyą, przypominającą dawne sprzysiężenia, w których uczestnicy wiedzieli o sobie, działali wspólnie, ale nie znali się wzajemnie. Ówczesny „Ku-Klux-Klan", operujący na terenie Stanów południowych, spadał jak grom, niewiadomo skąd, wymierzał w myśl swych haseł bezwzględną sprawiedliwość i ginął, niewiadomo gdzie, by nazajutrz wypłynąć gdzieindziej i zrobić to samo, co wczoraj. Szerzył też ogólny postrach, a sam nazywał się: Niewidzialnym rządem.

„Ku-Klux-Klan" posiadał swoje własne ustawy, wprawdzie nie spisane, ale bezwzględnie wykonywane przez swych członków, a ta właśnie subordynacya rozkazom wyższych nadawała mu spoistość i siłę. Każdy z członków przed przyjęciem odpowiedzieć musiał na pięć pytań, z których najważniejszem było, czy uznaje wyższość rasy białej nad czarną.

W ciągu lat zażartość walki rasy białej z czarną w Stanach Zjednoczonych znacznie osłabła, choć nigdy zupełnie nie wygasła, „Ku-Klux-Klan" zawiesił też swą działalność i wkrótce o nim zapomniano. Chyba historyk, zajmujący się wyłącznie sprawami Stanów Zjednoczonych, byłby mógł coś o tem powiedzieć, że podobny związek istniał, posiadał swą organizacyę centralną i dzielnicowe, że działał sprawnie i energicznie, a to dzięki bezwzględnemu posłuszeństwu, do jakiego zobowiązani byli jego członkowie.



Wystawa zbiorowa Kaspra Żelechowskiego: „Pastuszka."

Drugi okres działalności „Ku-Klux-Klanu" (nazwę tę wywodzi się od greckiego *kyklos*, to jest „koło") rozpoczyna się w r. 1916., w imię tych samych zasad, co poprzednio, ale jak się pokazuje z doniesień pism amerykańskich, w znacznie rozszerzonym zakresie. Głównym punktem programu jest dalej walka rasy białej z czarną, ale obecnie rozciąga się ją na wszystko to, co nie jest „rdzennie amerykańskie", to jest nie należy do rasy anglo-saskiej. Z małych początków tworzy się organizacya coraz to silniejsza, rozgałęziona dziś na cały obszar Stanów Zjednoczonych, a występująca namiętnie przeciw zarówno katolikom, protestantom i żydom. Niewątpliwie jest w tem coś z włoskiego faszyzmu, mającego na celu zwalczanie wrogich państwu żywiołów, metody walki są wzorowane na dawnych tradycyach, osłoniętych tajemniczością, choć nieco zmienionych.



Wystawa zbiorowa Kaspra Żelechowskiego. „Błędne ogniki".

Nowa era ma swój początek w Atlancie (Georgia), dzień za dniem nabiera jednak „Ku-Klux-Klan" znaczenia i już w r. 1920. odgrywa taką rolę w życiu społecznem Stanów Zjednoczonych, że czynniki miarodajne zaczynają się z nim poważnie liczyć, a obecnie uważają go jako element niebezpieczny dla wewnętrznego ustroju państwowego. Kandydaci na sędziów przysięgłych muszą się zdeklarować, czy przypadkiem nie są członkami organizacyi, w Chicago wdrożono energiczne śledztwo, mające na celu zbadanie, o ile i którzy funkcyonaryusze gminni należą do niej.

Ku-Klux-Klaniści osłonięci są w dalszym ciągu tą samą tajemniczością, jak poprzednio, używają podobnych, jak dawni członkowie dziwacznych kostyumów, zgromadzenia swe odbywają nocną porą, ale nie wiadomo, gdzie i kiedy, występami swymi szerzą niebywały postrach, zarówno między białymi, jak i czarnymi. Samosądy ich są nadzwyczaj surowe, w dzisiejszem zrozumieniu rzeczy nieraz nawet nieludzkie.

Ostrze ich walki zwraca się jak dawniej przeciw murzynom, występują wrogo nie tylko przeciw nim, ale także i przeciw tym białym, których posądzają o stosunki przyjazne z czarnymi, jakich zaś używają kar za to przestępstwo, o tem mógłby powiedzieć pewien duchowny anglikański, którego, rozebranego do naga, ochłostano, następnie oble-



Wystawa zbiorowa Kaspra Żelechowskiego: Typ wiejskiej dziewczyny.



Z Konwentu OO. Bonifratrów: O. Eliasz Ulmann, magister nowicyuszów.

PAWEŁ STAŚKO.

JEDNA GODZINA

(Dokończenie).

— Trzeba próbować sił tu i tu. Zapewne poezya to - mowa bogów, poetą trzeba się już urodzić, mieć talent, wytworny smak, czucie, subtelne pióro.. Oczywiście i wysoką kulturę! Dziś, kiedy istnieją całe biblioteki poezyi, chcąc coś nowego napisać—trzeba być genialnym wirtuozem! Sonety o wiośnie, hm... Ile już wiosen było od początku świata, tyle już o nich napisano sonetów i poematów, ba, w tysiącnasób chyba... Po kroć razy to już było, w wszelkich możliwych odmianach, formach i inwencyach...

Poeta słuchał, zasuwając oczy gęstemi rzęsy.

— No tak, to prawda, życie zawsze to samo, wiecznie jednakie — potaknął cicho. — I ludzie też.. Rodzą się wprawdzie nowi, ale mają te same dusze, uczucia, jak ich przodkowie i pragną również wypowiedzieć się... Sami dla siebie... Każde pokolenie przemawia do się własną mową, każde przytem odkryje coś nowego i pozostawia...

Redaktor zdał się nie słuchać usprawiedliwień urzeczonego wiosną poety.

— Panie, zna pan te słowa:

...znowu się będą maić winnice i drzewa,
znowu się dookoła zazieleni pole — —
idzie wiosna różanousta, złotobrewa,
z żółtym jaskrem i chabrem niebieskim na czole...

Poecie rozjaśniły się oczy.

— Tak, to wyjątek z Tetmajerowskiej „Legendy".

— A widzi pan... Kto z dzisiejszych poetów potrafi w czterech wierszach roztoczyć poprzed nami taki wiosenny obraz? Nikt! Zna pan jeszcze co z Tetmajera? — egzaminował.

— Owszem, znam wszystkie jego dzieła, a wiersze umię prawie napamięć, choć ich się nigdy nie uczyłem.

— Naprzykład coś o wiośnie?

Młodzieniec szukał w pamięci.

— Przypomina mi się sonet „Na wiosnę".

— Jak się zaczyna?

Redaktor zdał się bawić do naiwności grzecznym poetą.

— „Niegdyś, kiedy się wiosna zaśniła w przeźroczu".

— Ach, tak... Niech pan to powie całe, bardzo pięknie moduluje pan słowa - rzucił zachętnie.

Nie pojmując jaki ma zamiar redaktor i pragnąc najprzychylniej usposobić go do siebie, zaczął nieco już śmielej:

„Niegdyś, kiedy się wiosna zaśniła w przeźroczu,
marzyły mi się bóstwa żywiołów ocknięte,
lasów bogi szumiące i przejasne święte
nimfy, rodzące kwiaty spojrzeniem swych oczu.

Zdało mi się, że stojąc kędyś na uboczu,
jak malarz z poza wiklin w wodzie rozpierzchnięte
podpatrując dziewczyny, ich nagą ponętę,
błękit ciała wśród fali i rosę w warkoczu.

Tak ja patrzę na nagie młode bóstwa wiosny,
utrwalając ich obraz cudowny we wzroku,
ich promienną urodę i pląs ich miłosny!

Już wiosna schodzi jasna z białego obłoku,
lecz moja — przeszła — i dziś na ową świetlistą
patrząc, widzę ironię bytu wiekuistą...

Deklamował to tak pięknie i uczuciowo, jak recytator-poeta rozmiłowany w poezyi do zenitu.

— Ślicznie, bajecznie — zachwycał się redaktor i słodkim głosem i oczyma poety jaśniejącemi promienną szczęśliwością. — Ma pan naprawdę deklamatorski talent... — dodał, ściągając brwi i uśmiechając się bezbarwnie, z szybko topniejącym zachwytem.

I naraz oblicze jego skurczyło się, spoważniało. Coraz częściej napadały go teraz takie gwałtowne zmiany. Reszta dzisiejszej ciężko przespanej nocy, w której jak jasne widma latały mu po mózgu postrzępione obrazy nastałej wiosny, kwiaty tarniny i urocze oczy aktorki, ciało jej smagłe, zda się bez kości, nagie, kuszące i pełne żaru, — te zwidy napasliwe, tańczące wśród wyobraźni, wytrąciły go z równowagi i rozprzęgnęły nerwy.

Obraz deklamującego młodzieńca o płowych oczach i wiośnianych rumieńcach twarzy, jego cudownie niewinna świeżość i zapał tryskający z oczu — wzbudził w nim nagle dziką zazdrość i oblał ciało zimnym dreszczem jakowegoś wspomnienia. Słowa poety mówiącego o wiośnie: „lecz moja — przeszła — —" uderzyły weń jak odłamem nagrobka i zajęczały w duchu skowytem. Uczuł się naraz wobec tego młodzieńca ledwie co żywem próchnem i pasożytnym grzybem. Zmarszczona jego twarz zdała się w oczach starzeć i wpadać w szarość ziemi.

— Widać, czyta pan wiele — począł bezmyślnie wyrokować. - Trzeba, to grunt... Trzeba się ciągle kształcić, wczytywać, urabiać smak i język, potem dopiero wziąć się do pióra... Nie przeczę, może pańskie sonety są nienajgorsze, ale, widzi pan, nie mam na tyle czasu by je przeczytać, zresztą — teka redakcyjna tak przepełniona, że... an! mowy! Owszem, niech się pan kiedy zgłosi, jak będzie czas ku temu... Dowidzenia! — i odszedł spiesznie, pozostawiając w zdumieniu nieprzygotowanego na obrót sprawy młodzieńca.

Jasne oczy poety stały się teraz wielkie, jakby ogarnąć chciały i zrozumieć całe to zajście. Było w nich i nieme zapytanie, rzucone poza w tej chwili zatrzaśnięte drzwi, przykre rozczarowanie dociekające przyczyny redaktorskich rad, rad — zdaniem oczu — bezpodstawnych, a wreszcie sensu deklamatorskiej próby. Poco ten niby egzamin i ta odprawa bez wiedzy co wypieściły jego sonety? Że już pisano o tem tysiąckrotnie? Wszak i on odszedł — by pisać o ludzkich sprawach, starych świat, co już pisano i przeżuto, a jednak poszedł...

Na jego świeżej, jak biały płatek kwiatu przejrzystej twarzy wymalował się głęboki żal i smutek. Widać było jak wielką przywiązywał wagę do swych sonetów, ile pokładał nadziei w przychylność redaktora i jak fakt zaszły dotknął boleśnie duszę jego o wrażliwości mimozy, kiedy nie mógł powstrzymać łez cisnących się do oczu.

Stał jeszcze chwilkę, jakby niedowierzając w zawód i wzgardę jakiej doznała jego wiośniana przędza, za wzniosły by móc zapalać gniewem i czysty jak ta wiosna co go urokiem swym natchnęła, chrzyzmem pleśniarza namaszczając.

Odgarnął z czoła lniane kosmyki włosów i przygwździewając kapelusz — odszedł, by się poskarżyć wiośnie. Tylko ramieniem cisnął silniej kajet ku piersiom, jakby ukryte w nim sonety utulał w płaczu i cieszył promienną obietnicą...

Goleń, znalazłszy się przy biurku, wpatrzył się w jakiś punkt na ścianie, odczuwając równocześnie gwałtowny wstręt do oczekujących nań gazet. Czuć je było czernidłem i czemś, co odpychało nudzącem obrzydzeniem, niby długo używana potrawa. Czuł w okół jakąś zawziętą kłótnię pomiędzy atmosferą pokoju a świeżym wiewem powietrza zalatującym poprzez otwarte okna. Wiosna wpływała niemi coraz to możniejszymi potokami, coraz wonniejsza, z darami młodych podniet. Wprost rozdymały piersi kryniczne fale, przenosząc myśli w jakieś odległe uroczyska, na samo łono wiosny.

Ni stąd ni zowąd ozwał się w redaktorze nagły żal za zlekceważonym poetą. Wzruszony żywym dotykiem wiosny, rad był przeczytać jaki słoneczny hymn, byle tylko to wertowanie gazet odwlec na plan najdalszy. Zaraz za pierwszym podszeptem wybiegł do poczekalni, potem na schody, ale poety już nie zoczył. Wrócił niezwykle podrażniony. Z całem zaparciem usiadł sobie przy biurku i jął się gazet z nietajoną pasyą. Przeglądał je pospiesznie i niecierpliwie, co chwilę poglądając ku otwartemu oknu. Słyszał, że jakiś głos tajemny wywołuje go na świat, pełen słonecznych blasków, i że coś skrycie obiecuje. Mniejwięcej co minutę oceniał okiem jakiś artykuł, wycinał go nożycami i, nakleiwszy na przyrządzone czyste pasma papieru, dopisywał u góry nowy przechrzczony tytuł. W ten sposób odrobił materyał w jednym niemal kwadransie. Był już na dzisiaj wolny. Z zarzutką na ramionach zeszedł na dół po schodach i sam po drodze oddał drukarni przeznaczone do pisma wiadomości.

— A a! — odetchnął całą piersią, znalazłszy się na ulicy. — Co za rozkoszny dzień! Oszaleć można przy biurku - nie pisać! Dalej, dalej! — coś go naglito do pospiechu, wlewając w ciało nieokreślone żądze gonitwy w jasną, złotą od słońca przestrzeń.

Pierwszym napotkanym tramwajem wydostał się za miasto. Na podmiejskich ścieżynach i miedzach pośród niewielkich skrawków roli spotykał pary to pojedynczych ludzi, zażywających ciepłego wiosennego południa, uradowanych słońcem i świeżością powietrza, co, niby deszczem opyłny, lało się pachnącą siejbą z błękitnych niebios.

Między wywabionymi z miasta spacerowiczami znajdywali się wybladli, astmiczni starcy, chciwi powietrza i odświeżających promieni, posuwający się ciężko i ostrożnie aby nie deptać młodziutkich traw, przedziwnie ckliwi i troskliwi, zatrzymujący się w zachwycie nad każdym krzaczkiem i bujniej rozwiniętą rośliną. Tyle już wiosen przeżyli w swojem życiu, a jednak ta, ostatnia może, zdawała się najdroższą i najpiękniejszą, najmilszą z wszystkich.

Owdzie przesunęła się wiotka dziewczęca postać, barwnie ubrana, o żywych kolorach wiosny, płynęła w oczach Golenia czarem porannej zorzy, hoża, z odkrytą głową i kapeluszem w ręce, podobnym wielkiej koronie kwiatu, szła niespokojna w ruchach, oszołomiona przestrzenią blasków, jak ptak puszczony z klatki i oślepiony powabem wolnego życia.

Ocknięte dusze jednych płoziły się po ziemi i młodych trawkach cicho i rzewnie rozszeptane, drugich — goniły w słońce lotami orłów, pijane krzykiem rozbujałej przyrody i słonecznego szału pełne.

Goleń czuł te różnice i żal ogromny począł mu ściskać serce.

— Starcom, a więc i tobie, tak się przedstawia wiosna... zaś tak — tym młodym! — coś mu natrętnie jęło powtarzać nad uszyma. — Tym starczy ziemia i zielona gałązka, tamtym wśród gwiazd za ciasno...

Odpędzał wrogie szepty i szedł pospiesznie dalej, bez wytkniętego celu, byle tylko uciec od miasta, nie widzieć ludzi i gdzieś w ustroniu utopić się w wiosnę, pełną, rozlaną. Zdawało mu się, że jej wszechmożne czarodziejstwo odmłodzi go i wsączy w żyły krople krynicznej krwi.

Szedł długo, nie odczuwając prawie zmęczenia, wpatrzony w dalekie domki wioski, bielejące do słońca i przykucnięte wśród drzew wyniosłych, jak wielkie nenufary na szmaragdowem tle jeziora. Rozściełiły się przed nim wonne, szerokie pola i wraz zawiała lekka fala prawdziwej wsi. Obejrzał się poza siebie, gdzie w smugach dymu ginęło miasto. Jakże był rad, że nie słyszy piekielnego turkotu i zgrzytu kół żelaznych! Odczuł, że oderwał się z huczącego mrowiska i wpadł w jakowąś wielką ciszę, co aż się gnieść zdawała swoją istotą. Nerwy obwisły w nim upragnione spoczynku i upojone długą strażą. Cichość utulna stoczyła się na niego jak cud kojącej ulgi. Szybko odwrócił się ku polom i począł iść naprzełaj ku niedalekiej rzece. Poznał ją po okrągłem pasmie nadbrzeżnych drzew i wystającej gęstwinie wiklin. Stąpał teraz po świeżo zaoranej roli nie bacząc, że rozmokniętą miejscami ziemia oblepia mu obuwie. Owszem, doznawał nawet w tem brodzeniu niezwykłej przyjemności oraz podniety, że idzie ziemią a nie obmierzłym brukiem. I ludzie wiejscy, porozrzucani grupkami po rolach, nie raziły go jak ci tam z miasta, lecz napawali dziwną ochotą do życia i tego ruchu wiosennego co się roztętniał wokół, jak pieśń stubarwna.

Dotarłszy do wału rzeki, Goleń, przystanął na nim jak na wzgórku, ogarniając oczyma okolicę. Oddechał szybko nie tyle ze zmęczenia, ile z rozkoszy na widok pól, barwnych wiejskich postaci i tego słońca co bez przeszkody rozlało się po równiach, nie więzionego murami ulic, ani ciasnych podwórzy.

Uczuł, że jakieś ciężkie pęta spadły mu z ramion, — jemu i słońcu.

— O Boże wielki! wszakżeż tu raj, tu życie! — szepnął półgłosem, pełen niewymownego szczęścia. Dawno zginione blaski wróciły mu w źrenice, takie nieomal, jakie biły od oczu młodzieńczego poety. I on sam właśnie stanął mu teraz w uszczęśliwionych myślach, jasny, nieśmiały, deklamujący cudnym głosem.

...idzie wiosna różanousta, złotobrewa,
z żółtym jaskrem i chabrem niebieskim na czole...

— Jakżeż on nie miał pisać, gdy tu wszystko pisze sonety... Każdy kamyczek i skiba ziemi, trawy i ozimina - wszystko to śpiewa i wije cudne pieśni...

I znowu szorstką dłonią żal go szarpnął za serce za tę odprawę bezlitosną. Był przytem jak groźna iskra, poczynająca pożar. Bowiem znienacka na uciszoną duszę redaktora Golenia spa-

dło krocie wyrzutów, tych, które zbliżający się jubileusz miał koronować... Znów mu zawyło w mózgu krocie zapytań, wszystkie na jedną nutę — zmarnowanego życia.

— Spojrzyj wokoło — kąsało jedno po drugiem — wszystko tu żyje celem i pracą... O, tu jaskółka urabia muł na gniazdko, nad nią pokrzywka odrywa dzióbkiem zeschłą trawkę, a wszystko śpiewa i pracuje, bez szału, z zdrową radością, wedle przyrodnich norm... Nic się tu nie wyradza, nie paczy, nie zaraża... Ta ozimina wyda chleb, to ptactwo pokolenie i pieśń dla ludzkiej wesołości, na ucztę duszy i wytchnienia, te kwiaty rozsieją nowe ziarna... A ty co dałeś i pozostawiasz poza sobą, komu służyłeś i z czem odejdziesz?

Goleń usiadł na brzegu rzeki i twarz zanurzył w dłoniach. Zdawało mu się teraz, iż wszedł tu jako profan, kalając sobą dziewiczo czystą pierś przyrody. Tak to nagle uczucie silnie nań podziałało, że płacz go porwał niewstrzymany, kędyś od trzewiów, rwący. Płakał, nie zdając sobie sprawy, co te łzy wywołało, takie gorące i obfite. Czy widma lat ubiegłych, starcza samotność, czy ta śmiejąca wiosna. Płakał i z żalu i radości, na widok słońca i na wspomnienie grobu, jak człowiek, co pieści kogoś przed rozstaniem. Płacz ten prawie że mu nie sprawiał bólu, a wraz ze łzami zdała się spływać z jego serca sucha, spękana kora spieczonych szałem lat — —

Kiedy po jakiejś chwili przetarł mokre źrenice i podniósł oczy, wzrok jego padł na piaszczyste wybrzeże, zasadzone ukośnie ciętymi palikami wiklinnej łozy. Ta niewybredna kultura chróstu wyglądała niby grube, rzadkie ściernisko, wichurą pochylone ku ziemi.

Początkowo nie mógł się zoryentować, jaki cel przedstawia dziwaczna ta robota, dopiero po pewnem zastanowieniu odczytał jej tajemnicę. Błahe napozór spostrzeżenie sprawiło mu niezwykłą widać radość, bo powstał z miejsca rozjaśniony i podszedł do sadzonek. Przyglądał im się z natężoną uwagą, jakby pragnął spamiętać sposób sadzenia w ziemię i ilość pozostawionych oczek.

Natchniony jakąś myślą, począł iść dalej brzegiem rzeki, bacznie się za czemś rozglądając.

— Tak, tu jest odłóg — szepnął, zoczywszy goły skrawek wybrzeża. — Potrzeba go zasadzić, potrzeba...

Ujął w rękę scyzoryk i wszedł w wiklinny lasek. Począł ścinać łozę za łozą, ćwiartować je w kawałki, dopóki nie zebrał ich naręcze. Nie dbał na czarny żakiet, który się walał w tej robocie, czuł wielkie szczęście i szczere zadowolenie, że — pracę tę wypełnia...

Po przygotowaniu odpowiedniej ilości sadzonek, wrócił na odłóg i jął kolejno wtykać je w namulistą ziemię. Czynił to z widoczną troskliwością, odmierzając odległość na dwie stopy, równo, dokładniej, niż tam widział.

— Rośnij wierzbinko moja droga — mówił niby do dzieci — rozwijaj oczka i patrz na słońce... Dobierałem cię umyślnie taką, co ledwie obudzoną, abyś tem łatwiej przyjąć się mogła. Za późno może przybył, ale z serdeczną chęcią... Tyś mię natchnęła cudem czynu i zeszlesz może przebaczenie...

Pełną godzinę trwała rzetelna jego praca, wreszcie sprostował się zmęczony, spoglądając na dokonane dzieło. Oczy pałały mu weselem — nadrzeczny odłóg wyglądał teraz jak sadownicza grzęda...

— Niechże choć tyle po sobie pozostawię, choć tyle ręką swą dokonam... Niewiele to, maleńko, ale choć tyle.. I jutro przyjdę - i znów posadzę... O, jak mi lżej, uciszniej! Jedna godzina trudu, a tyle szczęścia, Boże!..

Uszczęśliwiony, błąkał się długo ponad rzeką, czyniąc przedziwną spowiedź trawom - gałązkom - wodzie... Zda się, że odżył innem życiem przez ten mały wysiłek pracy, że się odświeżył skruchą.

Wracając w stronę miasta, postanowił odszukać jasnowłosego poetę, o oczach natchnionych wiosenną pieśnią i nieskalanym błękitem niebios. Czuł, że mu krzywdę wielką wyrządził...

Gdy po tygodniu obchodził Goleń swoje nadrzeczne grządki, dostrzegł na pierwszej świeżo rozwite pędy. Widać przyjęły się i rosły już ku słońcu, młodziutkie, ledwie wyklute z oczek...

I znowu łzy nabiegły mu do oczu, promienne, jak ta wiosna i szczęsne, jak ta jedna godzina — —

LOUIS LETANG.

FATALNY TALIZMAN

Tłóm. z franc. Marya Segeny.

12)

Detektywi bez słowa skłonili się głęboko i podążyli za nim.

Pan de Valdeuse prowadził ich przez szereg sal i korytarzy na drugi koniec zamku. Lękał się, aby ktoś ze służby mimowoli nie podsłuchał rozmowy.

Kiedy nareszcie zatrzymał się w okrągłym pokoju, który niegdyś służyć musiał za domową oranżeryę, hrabia odwrócił się po raz pierwszy i spojrzał na swoich gości.

— Nazwiska panów? — zapytał krótko.

— Brood i Piller — odpowiedział mały detektyw.

— Siadajcie panowie i mówcie, jakie macie wiadomości?

— Pan hrabia daruje — wyrzekł, kłaniając się Brood — ale my nie możemy wiedzieć, co pana hrabiego najwięcej interesuje. Mamy rozkaz od lorda Halley odpowiadania tylko na pytania pana hrabiego.

— Ależ do dyabła! Mnie interesuje wszystko — zniecierpliwił się pan de Valdeuse.

— My jednak możemy wypełniać tylko rozkaz lorda Halley — odezwał się Piller.

— Niechże i tak będzie. Gdzie jest miss Elva?

— Znajduje się obecnie niedaleko zamku Rochegrise, we wsi Monestier.

— W Monestier? — zawołał hrabia — Tutaj!? tak blisko?

— Tak jest, panie hrabio — uśmiechnął się z zadowoleniem Brood.

— Ależ tam niema żadnego hotelu, żadnego zajazdu? U kogoż ona być może?

— U proboszcza, pana Pegrusse.

— A to ciekawe!

— To samo mówiłem właśnie do mojego kolegi Pillera.

— Czy jest sama?

— Towarzyszy jej pan Armand Sorel. Przeczytaliśmy jego nazwisko na blaszce jego walizy.

— Ah! — mruknął niemile zdziwiony pan de Valdeuse. — Jakież może być wzajemne stanowisko miss Elvy i tego pana?

— Zachowują się, jak para rozkochanych gołąbków...

— Ciekawe... ciekawe... — mruknął pan de Valdeusse. — Słuchajcie panowie — zwrócił się do ajentów. — Chcę, abyście starannie strzegli plebanii i jutro już mogli mi dać pewne wiadomo ci co do stanowiska tej młodej dziewczyny w domu proboszcza Pegrusse, bo naprawdę szczególne to schronienie dla kobiety, która tak niedawno jeszcze produkowała się publicznie wraz ze swoimi tygrysami.

— Postaramy się dowiedzieć jak najwięcej — przemówił poważnie milczący dotąd Piller.

— Doskonale. A że nie życzę sobie, abyście się pokazywali w zamku głównem wejściem, starajcie się zawsze przychodząc tutaj — nadejść od strony tej oranżeryi.

— Oh! to nie przedstawia dla nas żadnych trudności! — zawołał mały Brood — mury ogrodu nie są zbyt wysokie.

— Tymczasem zechciejcie przyjąć tę małą gratyfikacyę, jako docenienie przyszłych waszych usług, które stać się mogą dla mnie bardzo użyteczne, jak mnie zapewnił mój przyjaciel lord Halley.

Brood ukłonił się głęboko i wyrzekł z przejęciem:

— Pan hrabia liczyć na nas może. Jutro przed wieczorem przybiegniemy z wiadomościami.

Kiedy po jakimś czasie detektywi wychodzili z oranżeryi, twarze obydwóch jaśniały zupełnem zadowoleniem.

— Mój mały Broodzie - mówił z komiczną powagą olbrzymi Piller — zdaje mi się, trzymamy dobrą sprawę w rękach. Zależy tylko od naszego sprytu, aby jak najwięcej stufrankówek wyrwać z kieszeni tego kochliwego hrabiego.

VIII.

Tymczasem Marcin Legarade, jako prawdziwy wieśniak, mściwy i uparty, pielęgnował w sobie złe wspomnienie, jakie pozostawił w nim „Zły pasterz", spotkany pod fatalnemi skałami Rochegrise.

A przytem, z biegiem dni, lekkie podejrzenie co do zjawy nocnej, obudziło się w jego umyśle. Widmo „pasterza", jak na istotę bezcielesną, miało za silną rękę...

Rezultatem tego podejrzenia było, że Marcin codziennie rano o wczesnej godzinie i o zmierzchu szedł na sam koniec wsi i patrzał uparcie w stronę złowrogich skał.

O kilkadziesiąt kroków od ostatniego zabudowania znajdowało się pewne płaskie wzniesienie, z którego roztaczał się widok na okolicę, a szczególniej na wąską dróżynę, ciągnącą się pod skałami.

Tam to chodził Marcin i obserwował.

Tego wieczora znajdował się on na swoim posterunku trochę wcześniej niż zazwyczaj i po niedługiem oczekiwaniu ujrzał nagle jakąś olbrzymią sylwetkę, wstępującą na ścieżkę u samego wejścia do skał.

Marcin był chłopcem odważnym, jednakże zadrżał całem ciałem, ujrzawszy cień tajemniczy.

Co to być mogło?

Cień się posuwał, widoczny na tle śniegu, ale posuwał się w dziwny jakiś sposób, powolny, podskakujący.

Marcin nie namyślał się długo. Zdumiony i wystraszony tem olbrzymiem zjawiskiem, które w sobie nic ludzkiego nie miało — zesunął się ze wzniesienia i co tchu pobiegł do wsi, do domu szewca, gdzie zawsze wieczorem schodziła się młodzież z innych domów na wesołą pogawędkę.

— Oho! przyjaciele! — zawołał, wpadając do izby. — Zobaczyłem „go" przed chwilą... tak, tak, powiadam wam, zobaczyłem go... wałęsa się szelma koło Czartowskiej skały. Biegnijcie prędko, okrążymy go, póki jeszcze całkiem noc nie zapadnie!

— Ale czy ty nas nie oszukujesz, chłopcze? — zapytał szewc Vendatour.

— Co znowu! Wierzcie mi, że nie mam wcale ochoty do żartów. Olbrzymi jest, powiadam wam, ma więcej jak dziesięć stóp wysokości. Czegoś podobnego nie widział jeszcze żaden z nas.

— A więc chodźmy — zadecydował bez namysłu szewc, który uchodził za najsilniejszego i najodważniejszego człowieka ze wsi. — Ale ilu nas jest? Czy nas będzie dosyć!

— Dosyć, dosyć! jest nas siedmiu! — zawołał jeden z młodych ludzi.

Za chwilę dom był już pusty.

— Idźmy ostrożnie, żeby go nie spłoszyć — zauważył ktoryś.

Szli w zwartej linii, każdy uzbrojony w to, co mógł pochwycić, w poważnem, skupionem milczeniu.

Wyprawa nie należała do bezpiecznych. Kto wiedzieć mógł, z kim się będzie miało do czynienia? Różne i tragiczne opowieści krążyły po okolicy o tajemniczym „Złym pasterzu". Kto spotkał się z nim oko w oko, nie wychodził żywy z tego spotkania.

— Czy widzicie go! — przerwał wreszcie Marcin, kiedy znaleźli się już w polu, poza obrębem wsi, wskazując na ruchomy, gigantyczny cień, posuwający się powoli w ich kierunku.

— Ho! ho! — szepnął szewc, wytrzeszczając oczy — Dyabelnie wielki i straszny!

— Słuchajcie-no, dajmy lepiej pokój! — stchórzył jeden z młodych wieśniaków — To nieczysta sprawa!

(Ciąg dalszy nastąpi).

E. FEYDEAU.

MOJA SPOWIEDŹ

1) **Powieść z francuskiego**

I.

Nazywam się Karol Kerouan. Urodziłem się w Nantes. Pochodzę z rodziny, która nieraz odznaczyła się w usługach Francyi. Ojciec mój przed otrzymaniem dymisyi ze stopniem kapitana okrętowego, zaszczytnie figurował w nieszczęsnej wojnie, która poprzedziła upadek pierwszego cesarstwa. Matki mojej nigdy nie znałem. Ponieważ, od dzieciństwa już, okazywałem mało usposobienia do marynarki, ojciec zatem, niezmiernie mię kochający, postanowił, iż poświęcę się nauczycielstwu. Jego zdaniem, każdy człowiek należał do swego kraju i obowiązanym był do służenia mu w miarę sił i możności. Ja, wyrażając się językiem szkolnym, ukończyłem nauki: summa cum laude. W dziewiętnastym roku otrzymałem nagrodę na wielkim konkursie akademickim. We dwa lata potem mianowany zostałem pomocniczym nauczycielem w jednem ze znaczniejszych kolegiów paryskich. Stanowisko to, prawie wyjątkowe dla młodzieńca dwudziestoletniego, dostało mi się, wyznać to muszę, raczej dzięki stosunkom mojego ojca aniżeli dla tego co uprzejmie nazywano: „mojemi zasługami". Pozwoliło mi ono osiąść w Paryżu. Sześć tysięcy franków dochodu, otrzymanego w spadku po matce, wraz z pensyą do urzędu mego przywiązaną, tworzyły wcale zasobny budżet, którego mogła mi zazdrościć większa część moich kolegów. Z pewną dumą mogę powiedzieć, iż w pierwszych latach mego nauczycielstwa oczy całego uniwersytetu były na mnie zwrócone. Karyera moja zdawała się być z góry nakreśloną: miałem ożenić się po należytem ustaleniu mojej pozycyi i prawdopodobnie zostać z czasem wicerektorem w Paryżu. Niepodobna profesorowi posunąć się wyżej, chybaby powołany został na ministra oświecenia publicznego. Przyjaciele moi, żartując czasami z niejaką przymieszką ironii, ukazywali mi ten wysoki urząd jako niezawodne uwieńczenie m jej karyery. Ale posiadając nieco zdrowego rozsądku i nie mając zbyt wygórowanej ambicyi, nie mogłem powstrzymać się od tego, by nie śmiać się z tej przepowiedni, bardzo wszakże podchlebiającej mojemu ojcu.

II.

W dzieciństwie jeszcze dałem dowody, iż jestem namiętny i obdarzony niezwykłą czułością. Od dziesiątego roku życia nie umiałem kochać w połowie. Kochałem, albo nie kochałem; pośredniego nic nie było. Raz oddawszy serce, nie podobna mi było go oderwać. Kochałem, że tak powiem, mimowolnie i nie tyle wskutek zastanowienia się ile raczej wskutek usposobienia. Jedne osobistości pociągały mnie ku sobie, drugie odpychały; a wszystko bez motywów i powodów. Na nieszczęście, nie zawsze wybór mój padał na najgodniejszych.

Powiedziałem, że obdarzony byłem wielką wrażliwością, do tego dodam, iż właśnie to usposobienie, którego mi wielu zazdrościło, miało spowodować nieszczęście całego mego życia. Fakta pozornie nic nie znaczące, spełniając się w dziedzinie uczucia, przybierały dla mnie niesłychanie wielkie rozmiary. Jedno zmarszczenie brwi mego ojca pobudzało mię do płaczu; od każdego surowego wyrazu moich nauczycieli, bladłem. Często dość było jednego uprzejmego słowa, by mię zniewolić do nadmiaru pracy, mogącego narazić moje zdrowie. Ale za to, naśmiewanie się, choćby najlżejsze, sprawiało mi przykrość, a jeżeli znajdowałem obojętność w sercu, które uznałem za godne do współczucia ze mną, doznawałem gorzkiej boleści. Zdawało mi się, iż serce to, wymykając mi się, narażało mię na upokorzenie niezasłużone.

III.

Aby być dobrze przyjętym w towarzystwie paryskiem, na to wystarczało mi nazwisko mego ojca. Pewna świetność, jaką je okrytem, otworzyła mi podwoje świata urzędowego. Tu jeszcze muszę nadmienić o szczególnej właściwości mego charakteru; tak jak większość młodych ludzi, którzy ukończyli nauki w uniwersytecie, miałem wszystkie dane po temu, by nabyć wstrętu do towarzystw, a pomimo to, świat mię pociągał. W polityce byłem jednym z tych liberałów, dla których tylko Waszyngton jest ideałem; będąc wolnomyślnym w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, nie przyznawałem pod żadnym pozorem, prawa ograniczenia komuś publicznego wyrażania swych zapatrywań. Stan odrętwienia, w jaki pogrąża się coraz bardziej społeczność francuska, jakby znużona swą ciężką pracą, martwił mię głęboko. Jedna tylko nauka, surowa, zawzięta, była w stanie wyrwać mię ze smutku, jakiego doznawałem patrząc na mój kraj, bezczynnie zaskorupiający się w rozkoszach złudnego bezpieczeństwa. Ta społeczność, próżniacza, płocha, którą przez swą obojętność, konwencyonalność, przesyt dziwne sposoby zabijania czasu, jest tak dobitnym wyrazem socyalnym go stanu, nie mającego prawie podobnego sobie od czasu jak Francya istnieje, społeczność ta wywierała na mnie pewien rodzaj uroku! Było to coś dziwnego i chorobliwego w zajęciu, jakie ona we mnie wzbudzała. Czułem, że jest próżna treści, fałszywa, płocha, okrutna, samolubna — i olśniony urokiem jej pozorów, instynktowo lgnąłem do niej, jak gdyby była zbiorem wdzięków i piękności. Niech kto jak chce tłómaczy takie usterki charakteru nie mającego w sobie nic zniewieściałego, który przy tem zahartowany był specyalnym kierunkiem edukacyi, całkiem męskiej. Dziś, pozbywszy się wszelkich złudzeń, dzięki jednej z najsurowszych lekcyi, mogę tylko ze zdumieniem skonstatować ten fakt, który tak fatalny wpływ wywarł na moją karyerę.

IV.

Jednym z domów, dokąd najchętniej uczęszczałem, była ambasada angielska. Znajdowałem tam całe przedmieście St. Germain, dyplomacyę i znakomitości naukowe. Jako młody i nieznany Bretończyk, trzymałem się o ile można w cieniu. Tyle tam było książąt, ministrów, senatorów i nawet osób prawdziwej zasługi! Zaledwie śmiałem poruszać się, z obawy by komu nie ubliżyć. Dziewicze serce moje uwielbiało w milczeniu arystokratyczne piękności, błyszczące przedemną i nie troszczące się o młodego profesora, który jednak z pamięci mógł wyrecytować genealogię niejednej z nich. Powtarzałem sobie z dziecinnym smutkiem, iż ten świat gwiazd nie dla mnie jest stworzony, że wolno mi oglądać go, ale nie żyć jego życiem; przypuszczałem, że musi on mieć cudną i sobie tylko właściwą inną jeszcze stronę, której zapewne nie poznam nigdy. Gryzłem się tem — nieroztropny, iż mogłem go oglądać nie więcej, jak dziesiątek razy przez zimę, i czułem zarazem, jak pociąga mnie ku niemu niepokonana ciekawość.

V.

Raz na wiosnę, roku 18... — miałem wtedy rok dwudziesty piąty — udałem się do ambasady na ostatni wieczór tego sezonu. Było to w końcu maja i pamiętam dobrze, iż upał był nieznośny. Salony recepcyjne znajdowały się na dole pałacu, drzwi były pootwierane; niektórzy goście błąkali się po ogrodzie, oświetlonym lampami w kwiatach ukrytemi. Wieczór ten szczególniej cechowała pewna jakaś poufała zażyłość. Nie było prawie nic urzędowego. Dźwięki doskonałej, niewidzialnej orkiestry zaledwie tłumiły nieco szmer rozmów. Wszystkie prawie kobiety przystroiły się w żywe kwiaty, napełniające salony cudną wonią.

Cóż jeszcze powiedzieć? Wieczór ten, na który tak łatwo mogłem nie pójść, miał dla mnie takie skutki, iż dziś jeszcze nie mogę mówić o nim bez ściśnięcia serca. Chciałbym zastanowić się nad nim, zbadać pod jakimi zgubnymi wpływami musiałem być wtedy, gdy nic mię nie przygotowało do błogiego, a zarazem zgubnego wrażenia, które tak dotkliwie wpłynęło na moją przyszłość. Próżne żale! zbyteczne! Powiedziano było, iż dzień ten będzie dniem mojej zguby i pogląd wstecz nie złagodzi goryczy tych żalów.

VI.

Przez niejaki czas zabawiałem się oglądaniem toalet kobiet i rozmową z kilku znanemi mi osobami. Koło północy zamierzałem oddalić się, gdy wtem, zwróciwszy się ku jednym drzwiom, uczułem, iż nogi moje zaplątały się w długą suknię z okonem. W tej samej prawie chwili lekki krzyk niezadowolenia zniewolił mię do odwrócenia głowy. Dama, która krzyknęła, nie mogąc iść dalej, stała, w tył wychylona i spoglądała na mnie bokiem; ja zaś, zmieszany moją niezgrabnością, napróżno usiłowałem przywrócić jej wolność. Bełkocząc kilka wyrazów z prośbą o przebaczenie mojej niezręczności naturalnie musiałem spojrzeć na nią. Odeszła ze spuszczonemi oczami ale z dumną miną.

W tej chwili uczułem, jakby nagłe drgnienie w całem ciele. Ja, którego serce, w chwilach największego wzruszenia, biło tylko dla przyjaźni, teraz drgnąłem jakby szałem nagłym opanowany. Nie wiem jak się rodzi miłość u innych ludzi, wiem tylko, iż, mniej niż w jedną sekundę byłem oczarowany i ta miłość mną zupełnie owładła. Bez przesady powiedzieć mogę, iż od jednego spojrzenia byłem rażony jak piorunem. Serce moje, życie, wszystkie moje myśli, jak gdyby nagle kto je zerwał z podstaw, przeniosły się ku tej kobiecie. Wszystko to zabrała ona z sobą, powłokła w fałdach swej rozdartej sukni.

Powróciłem, by pójść za damą, nie mając bynajmniej przeświadczenia o tem, co robię. Z rozkoszą patrzałem na nią. Cóż w niej mogło mię tak roznamiętnić? Była średniego wzrostu i bardzo kształtnie zbudowana. Kibić miała harmonijnie zaokrąglona, arystokratyczną głowę wieńczyły włosy w kunsztowne sploty ułożone, jeden ich pukiel, jakby wybiegłszy z szynionu, spadał na ramiona, a ramiona te miały cudne dołki. Pod czołem, nieco nachmurzonem, błyszczały szafirowe oczy, a wśród ślicznie zarysowanych ust ukazywały się białe ząbki, ostre jak u kota. Nie było nic wykwintniejszego nad jej chód i dystyngowańszego nad ruchy. Co zaś najwięcej w niej pociągało, to ów wyraz twarzy zarazem wyniosły i obojętny, zalotny i pogardliwy, arystokratyczny i wesoły, lekkomyślny i rozważny, który zdradzały ostre linie nosa, sposób trzymania głowy, wdzięk ust, sposób w jaki patrzała, mówiła, chodziła. Być może, iż znajdą się kobiety piękniejsze, ale to pewna, że na całym świecie nie znalazłaby się druga osoba lepiej zaopatrzona we wszystko możliwe dla zawrócenia młodzieńczego serca. Czuła, że jest królową. Hołdy, których nie szukała, przychodziły do niej jakby same z siebie i czuć było, iż, zdaniem jej, wyświadczyła ci łaskę, gdy raczyła raz rzucić na cię swym pogardliwym wzrokiem.

VII.

Od chwili, w której poszedłem za nią, wszystko dla mnie rozświetliło się w salonach, wszystko przybrało wspaniałe rozmiary. Orkiestra wygrywająca walce niemieckie, wydała mi się o tysiąckroć bardziej harmonijną, aniżeli ta, którą w marzeniach przypisujemy aniołom. Kwiaty nabrały więcej blasku i szczęście wiało zewsząd jak lekki podmuch wiatru. Czułem się wesołym i rozrzewnionym; zdolności moje spotęgowały się. Ten świat przepychu i dystynkcyi będzie więc w końcu i do mnie należeć; więc i ja wreszcie wezmę udział w jego tajemniczych rozkoszach! Byłem tak uniesiony, iż nawet nie zapytywałem sam siebie, czy też jest możność, bym kiedy był kochany. O jednem tylko myślałem: posiadać oczami tę niebiańską istotę.

VIII.

Przeszło dwie godziny stałem, patrząc na nią, słuchając dźwięku jej głosu, śledząc każdy ruch. Dama ta siadała niedbale, z pyszną miną, panując nad wielkim wieńcem kobiet młodych i mężczyzn. To znowu wstawała leniwie i drobnym krokiem przechadzała się po ogrodzie. Chciałem dowiedzieć się o jej nazwisko; zapytałem więc o nie jednej z dam, której właśnie uścisnęła rękę.

— Jakto? — zawołała zapytana — pan nie znasz? To hrabina Chalis.

Odpowiedziałem, iż wiele już słyszałem o hrabinie, jako o osobie wysokiej wykwintności, ale nigdym jej nie spotykał.

— Żałoba rodzinna zatrzymywała ją w domu. Przez całą zimę była niewidzialną. Zdaje się, iż wywarła ona na panu bardzo żywe wrażenie — dodała z uśmiechem zapytania.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Kronika tygodniowa.

I pokazało się, że miał racyę ten metereolog, który zapowiedział bardzo wczesną wiosnę w tym roku, jeśli bowiem nie zajdzie nic nadzwyczajnego, t. j. nie nastąpi jakaś gwałtowniejsza zmiana, zimę tegoroczną możemy uważać za skończoną. W chwili, gdy to piszemy, choć to dopiero koniec stycznia, cieszymy się aurą prawie przedwiosenną, kto zaś zastawił futro i dotąd go nie wykupił, powiada sobie, że się z niem w tym roku już nie zobaczy.

Nie wyklucza to jednak, że zima może się nam dać jeszcze we znaki i, kto wie, czy się nie da, pewna bowiem pani pienka, która przybyła niedawno z Wieliczki, opowiada, a grzeczność każe wierzyć, iż w lutym nastaną takie mrozy, że ptaszki będą marznąć w powietrzu, natomiast lato będzie tak skwarne, że pieczone wróble będą spadać na ziemię, co oczywiście wpłynąć musi na obniżenie cen w naszych restauracyach, narazie idących ciągle w zwyżkę. Tak popularny niegdyś gulasz, bigos lub flaczki, za które przed wojną płaciło się od dwudziestu do trzydziestu centów i to w najbardziej renomowanej jadłodajni, kosztują dziś tysiąc pięćset marek i więcej, a z dnia na dzień zwiększają się ceny i równocześnie zmniejszają porcye. Osobnik, stołujący się w restauracyi, a dysponujący stałymi dochodami, jest poprostu w kłopocie, nie o to, co jeść, ale, czy wogóle może jeść, aby swego budżetu miesięcznego nie narazić na zupełne wykolejenie już w pierwszej połowie miesiąca.

Kto we Wieliczce przewidział tak smutne horoskopy na zimę, nie wiemy, całe w tem szczęście, że miesiąc luty, kiedy nastać mają te straszne mrozy, jest najkrótszy w roku, a pierwszą jego połowę zajmuje koniec karnawału, drugą zaś początek wielkiego postu, kiedy ludzie, dzięki zabawie, a potem wspomnieniom o niej, zapominają o dolegliwościach doczesnego żywota. Ze zestawień zabaw publicznych, podawanych przez nasze pisma codzienne, przekonaliśmy się, że na czas od 20. stycznia do końca karnawału sala Starego Teatru jest co wieczór zajęta, mających zatem ochotę do zabawy i środki po temu, widocznie nie brak, gdyby ich bowiem nie było, nie byłoby i zabaw. Tańczą zatem wdowy i sieroty, inwalidzi, skrofuliczne dzieci, kolonie wakacyjne, jeśli zaś nasz sprawozdawca balowy już w pierwszej połowie miesiąca, gdy odbywały się tylko prywatne zabawy, potrafił zdobyć taki rekord, jak w poprzednim numerze wspominaliśmy, wyobrażamy sobie, co to będzie, gdy nastaną tak zwane „szalone dni". Także i początek wielkiego postu przeznaczony teraz bywa na zabawy taneczne, aby ludzkość rozbawiona mogła wytańczyć ze siebie cały zapas nagromadzonej w nogach energii. Dawniej mówiło się: „Niech nie wie lewica, co daje prawica"..., dziś dobroczynna osoba powiada sobie: „Niech nie wie lewa noga, skąd się wzięły odciski na prawej!..."

Ale trudno!... Czas karnawałowy, szaleje więc wszystko, a przedewszystkiem drożyzna. Zgromadzenie mądrych starców, czyli emerytowanych ministrów skarbu, ułożyło już wprawdzie tezy, mające jej zaradzić, ale narazie nie można było jeszcze ich wydrukować, ponieważ maszyna drukarska zajęta jest dniem i nocą biciem nowych banknotów. W ten sposób rozwiązano problem *perpetuum mobile*, którym jest ta właśnie maszyna, lecz złemu bynajmniej nie zaradzono. Trzeba przyznać, że nowy nasz minister skarbu, pan Władysław Grabski, zabrał się energicznie do dzieła i sanacyę naszych stosunków ekonomicznych rozpoczął od puszczenia w obieg nowej seryi banknotów po pięćdziesiąt tysięcy marek, mających w najbliższym czasie stanowić u nas najniższą jednostkę obiegową, gdy wycofane zostaną „lisy, tygrysy i słonie", jako nie przedstawiające już żadnej wartości. Nowe banknoty nie miały jeszcze czasu spopularyzować się, nie nadano im też dotąd właściwej nazwy, co jednak niebawem nastąpi bez potrzeby rozpisywania w tym celu konkursu.

Poza tem ma pan minister skarbu zamiar podnieść cenę wyrobów tytoniowych, w kołach palaczy zatem łatwo zrozumiała konsternacya, przedewszystkiem zaś zwykły przed każdem podwyższeniem cen „przednowek tytoniowy", gdyż trafikanci chowają posiadane zapasy na później, aby je sprzedać potem z większą dla siebie korzyścią. Zarząd monopolowy jest dla nich na tyle łaskawy, że zamiary swe ogłasza co najmniej dwa tygodnie naprzód, aby mieli czas odpowiednio się do tego przygotować.

Każda emisya nowych coraz to wyższej wartości banknotów, świadczy o deprecyacyi naszej marki, ulegającej gruntowniejszemu zaćmieniu, niż Aldebaran w konstelacyi Byka, który właśnie w ostatnich dniach stycznia schował się za księżyc, aby nie patrzeć na to, co się na świecie dzieje, ponieważ bowiem nosi nazwę „baran", posiada też bardzo czułe serce, wrażliwe na niedolę bliźnich. Daleko nam wprawdzie jeszcze do tego, choć znów nie tak bardzo, aby banknoty milionowe, podobnie jak w sowieckiej Rosyi, były zwykłą monetą codziennego użytku, nie tracimy jednak nadziei, że się tego jeszcze może i w tym roku doczekamy. W każdym razie puszczenie w obieg nowych banknotów jest pogrzebowem dzwonieniem dla niższych wartością, na co musi się zgodzić każdy i przyznać, że we fazę wartości dawnej korony wchodzi obecnie „słoń", ale długo tam nie wytrzyma.

Jęczą też i wzdychają wszyscy, narzekając na ciężkie czasy, narzekają na nie także i kupcy i przemysłowcy, choć napychają kieszenie, jak nigdy dotąd, a czynią to zapewne dlatego, aby nie psuć ogólnej harmonii. Na posiedzeniu Izby Handlowej żądał pan Porębski, aby kupcom wolno było kalkulować ceny w ten sposób, by mogli za uzyskane pieniądze, oczywiście z potrąceniem zysku, zakupić taką samą ilość towaru, jaką przedtem posiadali. Jest to pobożne życzenie, które napędziłoby im nowe miliony, każdy z nich utrzymywałby bowiem, że nowe zakupna poczyni dopiero za rok, gdy nasza marka będzie miała przypuszczalnie dziesiątą część obecnej wartości. Przemysłowcy nie mogą się w żaden sposób doczekać nowej wojny, któraby pociągnęła za sobą nową falę drożyzny, obsadzenie obszaru Ruhry przez Francuzów i zajęcie Kłajpedy przez Litwinów kowieńskich nie wywołało dotąd spodziewanego konfliktu światowego, a konferencya w Lozannie ma się ku końcowi i nie jest wykluczone, że może już w następnym tygodniu podpisany zostanie grecko-turecki układ pokojowy. Politycy światowi nie robią sobie nic z karnawału i radzą drugi miesiąc, czy jednak ich wysiłki uwieńczy pożądany skutek, to dopiero przyszłość pokaże, bo to nic dziś trwałego na świecie, a każdy traktat czeka ta ewentualność, że może uledz rewizyi podobnie jak sewrski, zwłaszcza jeśli chodzi o interes nie tych, którzy się kłócą lub biją, lecz tamtych, chcących przy tej sposobności upiec swą pieczeń. Ponieważ zaś w sprawie grecko tureckiej wchodzi w grę nafta w Mossu'u, a na nią mają wielki apetyt Anglicy, łatwo wydarzyć się może, że się traktat w Lozannie podpisze, a niedługo potem zainteresowani zaczną się znowu wodzić za łby. Na tok obrad podobnych konferencyi wpływa także i to ujemnie, że delegaci płatni są na „dniówkę", nie spieszy się im zatem i chcieliby konferencyę przeciągnąć jaknajdłużej. Nawet tak świętobliwy człowiek, jak błogosławionej pamięci Mojżesz, nie był wolny od tej ludzkiej słabości i tylko z tego powodu potrzebował aż czterdzieści lat na prowadzenie swych żydków z Egiptu do Ziemi Obiecanej, co mógł uskutecznić, choć kolei żelaznych wówczas jeszcze nie znano, w najgorszym wypadku co najwyżej w ciągu dwóch lub trzech miesięcy.

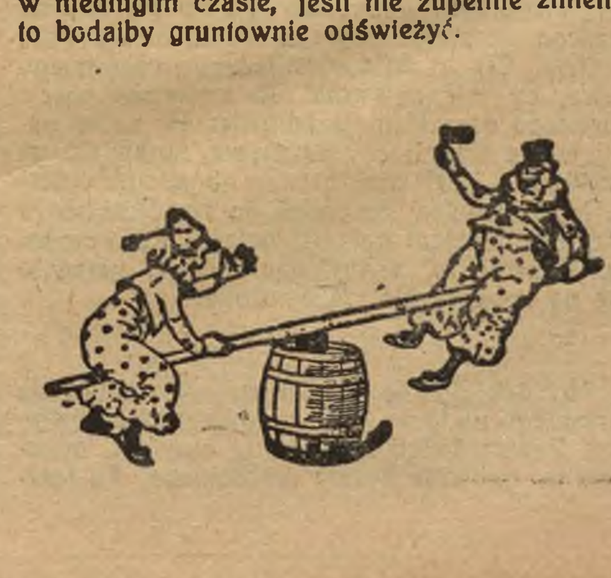
Całe szczęście, że skończył się nareszcie krakowski strajk drukarzy po przeszło trzymiesięcznym trwaniu. *Wiadomości Krakowskie* przeszły do archiwum, pojawiły się zaś z powrotem wszystkie organa prasy krakowskiej, przez czas bezrobocia drukarskiego dokoła nich zgrupowane. Przyczyni się to niewątpliwie do ustalenia równowagi światowej, wielcy nasi politycy krakowscy nie mieli się bowiem gdzie przez cały kwartał wypowiedzieć jasno i otwarcie, gdyż jeden przeszkadzał drugiemu, a wszyscy sobie razem. Najbardziej zmartwione były nasze gospodynie, gdyż brakło im do pakowania papieru w większym formacie. Dzięki pojawieniu się gazet ożywi się znacznie politykowanie, zwłaszcza po knajpkach, gdzie wierni tradycyi naszych przodków, budujemy ojczyznę i zmieniamy dowolnie kartę światową, ale zato tam, gdzie nas właściwie potrzeba, prawie nikogo nie uświadczy. Knajpkowe politykowanie dotknął boleśnie zakaz wyszynku w niedziele i święta wyżej procentowych napojów alkoholowych, a na sucho lub przy wodzie nikt chyba nie zechce natężać swego gardła. Obecnie grozi jeszcze cięższy cios, mianowicie redukcya wszystkich szynków do jednej trzeciej ich dotychczasowej liczby. To zarządzenie może wywołać gwałtowny przewrót w kraju, bo nie należy zapominać o tem, że nic innego, tylko zakaz sprzedaży alkoholu, naraził republikanów w Stanach Zjednoczonych na sromotną klęskę. Telegramy doniosły, że prezydent Harding, mimo, iż jest abstynentem i to z przekonania, nie z konieczności, upił się z tego powodu, jak szewc i miał nawet zamiar zapisać się na czynnego członka Ku-Klux-Klanu. Mieszkańcy Norwegii okazali wiele zmysłu politycznego, gdy w plebiscycie, w którym zapytywano ich o zdanie co do zakazu sprzedaży alkoholu, oświadczyli się znaczną większością za przyznaniem mu i nadal dawnych praw obywatelskich. U nas z tego powodu nie grozi narazie rewolucya, jeśli jednak policya zakazu sprzedaży przestrzegać będzie bardzo pilnie, łatwo bardzo może to doprowadzić do nieobliczalnych następstw. A posłowie, którzy ten zakaz uchwalili, śmieją się z nas w kułak i, popijając w niedzielę wędeczkę, powiadają:

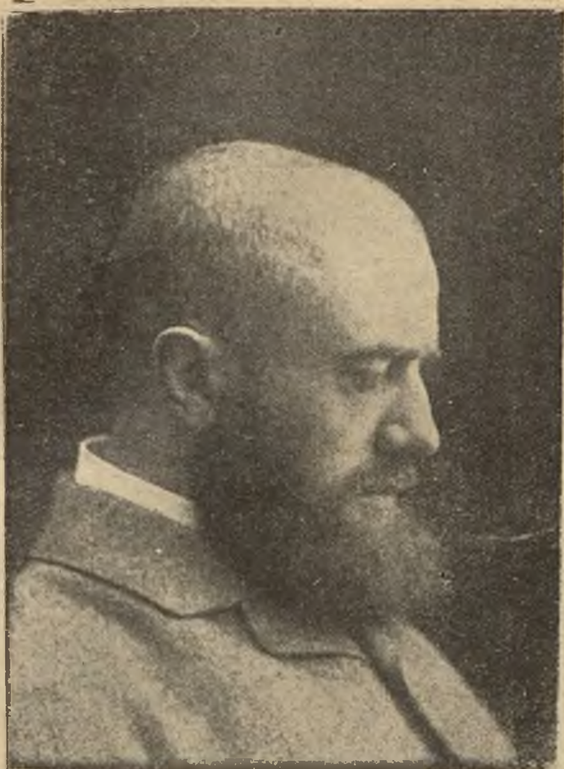
— Co mi zrobisz, skoro ja jestem nietykalny!...

Miłośnicy starego Krakowa są poprostu w rozpaczy, jak będzie wyglądać nasza stolica w najbliższej przyszłości bez tych knajp i knajpeczek, których co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście stanowiło ozdobę każdej ulicy i miejsce wypoczynku dla obcych, zwiedzających nasze miasto. Traci Kraków swą dawną patynę, a z nią cały swój urok. Magistrat zabrał się podobno bardzo energicznie do przeprowadzenia tej akcyi odalkoholizowania miasta, ale w tem właśnie cała nadzieja, że tak źle nie będzie, jakby się kto może spodziewał, bo wiadomo, iż koń fiakierski rusza z miejsca zwykle ostro, nawet z odpowiednim akompaniamentem, aby po kilkunastu krokach zwolnić z biegu, albo nawet i ustać. Obiecano wprawdzie, że zarządzenie przeprowadzi się ściśle, ale każdy wie także, co znaczą magistrackie obietnice. Wszak na wiosnę ubiegłego roku zapewniano solennie natychmiastowe rozpoczęcie budowy szerokotorowej linii tramwajowej na Łobzów, któa miała być oddaną już w jesieni do publicznego użytku. Ale minęła jesień i mija zima, a o rozpoczęciu robót nic nie słychać, jak się pokazuje z tego powodu, że odnośny referent zapomniał dodać, w którym roku kalendarzowym będzie owa tak upragniona przez nas jesień. Poza tem na odroczenie tej inwestycyi wpłynęło niewątpliwie ciągłe obniżanie się wartości marki, a ponadto ustawa o wymijaniu się na prawo. Plany były już podobno gotowe, ale musiano je odesłać do przeróbki, gdyż sporządzone były z wymijaniem się na lewo, kiedy zaś będą gotowe, o tem nikt nie wie, bo rzeczy wielkie tworzą się pomału.

W każdym razie, jak nas zapewnił jeden z ojców miasta, można żywić nadzieję, że na pięćdziesiątą rocznicę przyłączenia gmin podmiejskich do Krakowa, pojedziemy już nowym tramwajem, o ile oczywiście nie zajdzie jakaś nowa, dziś jeszcze nie przewidziana przeszkoda.

Z zamykaniem szynków nie powinien się zresztą spieszyć zbytnio magistrat, po pierwsze bowiem przyczyniają się one swymi podatkami do podniesienia dobrobytu kraju, a zatem i miasta, po drugie zaś stanowią one wypróbowane lokale przedwyborcze i agitacyjne, a nie powinno się o tem zapominać, że obecna rada miejska nie może wiekować i musi się ją już w niedługim czasie, jeśli nie zupełnie zmienić, to bodajby gruntownie odświeżyć.





Nowy dyrektor Warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych: Art. malarz, Karol Tichy.

piono smołą, obsypano pierzem i w tym stanie wypuszczono na widok publiczny. Podobna kara, obostrzona do tego ogoleniem głowy, spotyka kobiety białe, posądzone o niewierność małżeńską lub stosunek z murzynami. Dla murzyna, porywającego się na cześć białej kobiety, są Ku-Klux-Klaniści bardziej nieubłagani, w tym wypadku wchodzi w grę nóż, stryczek lub stos rozpalony.

Walczy zatem tajna organizacya z murzynami, piętnując ukaranych wypalaniem na czole swych inicyałów, występuje w obronie moralności, tępi alkoholizm, ściga złodziei i innych przestępców, nie oszczędza także burzycieli porządku społecznego na tle politycznem, podobnie jak to czynią włoscy faszyści.

Kółka „Ku-Klux-Klanu", należące do wspólnego wielkiego koła, obejmującego dziś całe Stany Zjednoczone, pozostają ze sobą w ścisłej łączności pod rozkazami nieznanego sobie władcy, noszącego w ich słowniku nazwę *Emperor* z predykatem *His Majesty*.

Ciekawym był demonstracyjny pochód około tysiąca konnych członków „Ku-Klux-Klanu", urządzony w nocy 20. maja 1921. na ulicach Dallas (w stanie Texas). Na przodzie niesiono ognisty krzyż, następnie liczne transparenty z napisami w zmodyfikowanym przez „Ku-Klux-Klanistów" języku: „Supremacya białych", „Czystość kobiet" itd.

W ostatnich tygodniach organizacya „Ku-Klux-Klanu" daje coraz wyraźniejsze znaki życia, co amerykańskie społeczeństwo, zajęte głównie interesami, wprawia w niemały przestrach.

Z żałobnej kroniki Zakonu OO. Karmelitów

Ś. p. O. Marcin Masiak, prowincyał Konwentu OO. Karmelitów, urodzony w roku 1878, zmarł w Krakowie w ubiegłym miesiącu po długiej, a ciężkiej chorobie. Zmarły ukończył gimnazyum św. Anny w Krakowie. W r. 1891 wstąpił do klasztoru, śluby złożył w rok później, a wyświęcony został na księdza w r. 1897. W roku 1903 zamianowany przeorem Konwentu we Lwowie, pełnił ten urząd do roku 1905, t. j. do objęcia stanowiska przeora w Krakowie. W roku 1908 zamianowany prowincyałem, pełnił ten urząd do ostatniej chwili, spędzając ostatnie chwile swego życia w Krakowie.



„Ku—Klux—Klan": Kierownicy stowarzyszenia obok ognistego krzyża, będącego jego symbolem przed wyruszeniem na wyprawę w stanie Georgia

Poza swoją pracą duszpasterską poświęcał się literaturze religijnej, pisząc szereg broszur o tendencyi społeczno-religijnej, wreszcie zdołał dokonać większego dzieła literackiego, kreśląc historyę zakonu OO. Karmelitów. W roku 1918 przebywał we Lwowie, gdzie podczas inwazyi ukraińskiej przeżywał wszystkie jej najstraszniejsze chwile. Podczas sumy w lwowskim kościele OO. Karmelitów rażony granatem w nogę, trwa na posterunku aż do upływu krwi i utraty przytomności. Zmarły pozostawił w życiu zakonnem lukę nie do wypełnienia, a w życiu prywatnem głęboki i szczery żal po stracie kapłana patryoty i prawdziwego ojca rzesz, które nie tylko oświecał i wychowywał w duchu narodowym, ale ponadto wyjednywał i spieszył im z materyalną pomocą.

Książę Leopold belgijski
podporucznikiem grenadyerow.

Następca tronu belgijskiego, książę Leopold, którego niejednokrotnie przedstawiały illustracye, jeszcze jako niedorostka, w uniformie wojskowym, a raczej w niebieskiem tylko kepi, zaliczonym był bowiem do dwunastego pułku piechoty, po ukończeniu swych studyów wszedł w szeregi armii belgijskiej, jako podporucznik pierwszego pułku grenadyerów.

Uroczyste zaprzysiężenie nowego oficera odbyło się we wtorek, 9. stycznia b. r. w Brukseli w obecności rodziny królewskiej, przedstawicieli wojskowości i świata politycznego. Na podwórzu koszar *Petits-Carmes* ustawiły się dwa belgijskie pułki grenadyerów ze swymi sztandarami oraz delegacye innych gatunków broni. O godzinie jedenastej przybył król z małżonką i córką, witani owacyjnie, oraz minister obrony krajowej, poczem rozpoczęła się ceremonia, podczas której przyszły



„Ku—Klux—Klan": Nocny pochód konnego oddziału Ku-Klux-Klanistów w Annapolis (stan Maryland)

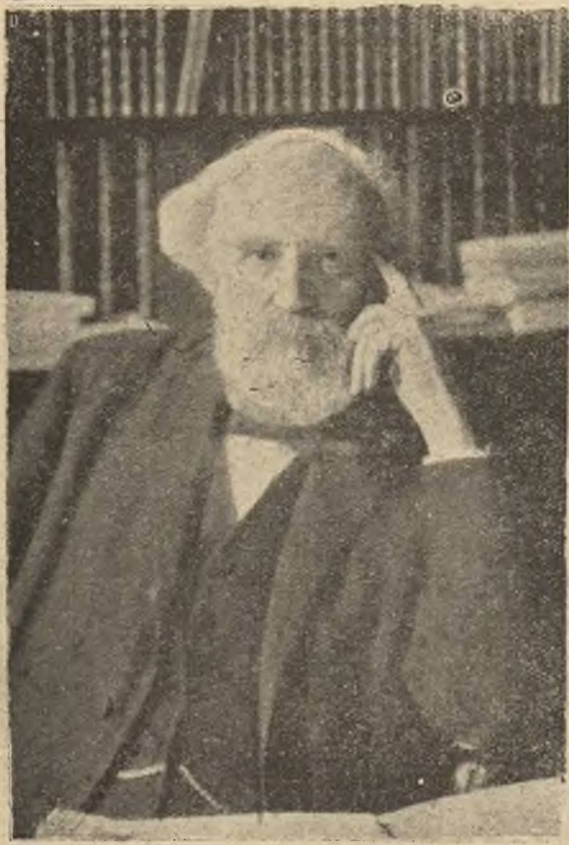


Z żałobnej kroniki Zakonu OO. Karmelitów: Śp. O. Marcin Masiak, prowincyał Zakonu OO. Karmelitów.

władca Belgii, a obecnie najmłodszy rangą oficer jej armii, wypowiedział pewnym i doniosłym głosem sakramentalne słowa przysięgi na sztandary narodowe:

— Ślubuję wierność królowi, posłuszeństwo Konstytucyi i prawom narodu belgijskiego!

Ten właśnie moment uroczystości przedstawia nasza illustracya.



Zgon twórcy sojuszu francusko-rosyjskiego: Zmarły w Paryżu wybitny mąż stanu i polityk, Aleksander Ribot.

Zgon twórcy sojuszu francusko-rosyjskiego

W nocy z 13 na 14 bm. zmarł w Paryżu były prezes ministrów, Aleksander Ribot.

Ribot był z zawodu adwokatem. Biorąc gorliwy udział w życiu politycznem, piastował od roku 1890—1892 tekę spraw zagranicznych. W r. 1892 stanął po raz pierwszy na czele gabinetu ministrów, obejmując jednocześnie tekę spraw wewnętrznych. W roku 1895 mianowany był po raz drugi prezesem ministrów, obejmując przytem tekę finansów.

Napisał życiorys lorda Erskine'a (1866): „Reforme de l'enseignement secondaire“ (1901); „Quatre annees d'opposition“ (1903). Za działalność literacką wybrany był na członka Akademii francuskiej i Akademii umiejętności moralnych i politycznych.

Ribot odegrał przedewszystkiem kierowniczą rolę w polityce zagranicznej. Z jego nazwiskiem związane jest przymierze francusko-rosyjskie. W r. 1913 był kandydatem na prezydenta republiki francuskiej, uległ jednak Poincaremu.

Umarł w 85 roku życia. Przez lat 40 wywierał wielki wpływ na politykę francuską.

Rozwój krakowskiej Gazowni miejskiej.

Za kilka lat Kraków będzie się mógł poszczycić gazownią, która pod względem wzorowych urządzeń wysunie się na czoło tego rodzaju zakładów w Polsce.

Już przed wojną była zdecydowana budowa nowej, powiększonej gazowni na Dąbiu, ale wykonaniu tego projektu stanęły na przeszkodzie



Rozwój krakowskiej Gazowni miejskiej: Grupa urzędników Gazowni w dniu uroczystości poświęcenia nowych budynków.



„Ku—Klux—Klan“. Jedna z ceremonii mistycznych członków stowarzyszenia w okolicy Baltimore.



Książę Leopold belgijski podporucznikiem grenadyerów: Uroczyste zaprzysiężenie księcia Brabantu jako podporucznika 1. komp. 1. bat. 1. pułku grenadyerów belgijskich w dniu 9. stycznia b. r.



Rozwój krakowskiej Gazowni miejskiej: Delegacya robotników Gazowni biorąca udział w uroczystości poświęcenia nowych budynków.

ciężkie przejścia ostatniego dziesiątka lat. Projekt, którego wykonanie pochłonęłoby zawrotne sumy, stał się nieaktualny. Zdawało się, że tak ważna dla rozwoju miasta sprawa zwiększenia produkcyi gazu, została raz na zawsze pogrzebana i sytuacya stawała się w skutek tego z roku na rok coraz trudniejsza. Wyjście z tego położenia znalazł dyrektor gazowni inż. Seifert, znany w sferach technicznych z swej energii i wiedzy, który, oparłszy się na wynikach szybkiego postępu gazownictwa za granicą, zaprojektował przebudowę fabryki na starem miejscu. W ten sposób gazownia krakowska przeskoczy za jednym zamachem całą olbrzymią drogę rozwoju w tej dziedzinie techniki i od najstarszego systemu retort poziomych ładowanych peryodycznie przejdzie do najnowszych komór pionowych o ruchu ciągłym. Taki system nie ma dziś równego sobie pod względem ekonomii surowca, wydajności i jakości produktów destylacyi, oszczędności miejsca i hygieny pracy.

Mimo wielu trudności natury technicznej i finansowej, dyr. Seifert, przy pomocy fachowego personalu technicznego, przystąpił natychmiast do realizowania projektu zakrojonego na szeroką skalę. Przedewszystkiem stanęła wieża wodna, warsztaty mechaniczne i odpowiednio rozszerzony budynek administracyjny. W całej zaś pełni są prace nad przebudową aparatowni, czyszczalni wraz z odbenzolownią, oraz główną budową nowej piecowni komorowej. Żelazo-betonowe mury nowej piecowni z głębokich fundamentów szybko wyrastają w górę, a w całej fabryce wrze od wytężonej pracy.

Dnia 14. stycznia odbyła się piękna uroczystość poświęcenia nowych i rozpoczętych budynków. Zarząd gazowni podejmował gościnnie licznych przedstawicieli miasta z Prezydyum na czele, oraz sfer przemysłowych i technicznych, zgromadzonych na to święto pracy. Liczni mówcy dali wyraz uznania kierownictwu zakładu za jego wydatną pracę dla dobra miasta.

Z naszego świata artystycznego.

Niejednokrotnie wspominaliśmy w naszem piśmie o usilnych zabiegach Komitetu odbudowy zniszczonej orkanem kopuły kościoła św. Piotra w Krakowie około zebrania potrzebnych na ten cel funduszów. Należą do nich przedewszystkiem koncerty z zakresu muzyki kościelnej, urządzane stale w każdą niedzielę i święto tak w kościele św. Piotra, jak też i w innych świątyniach. Zdobyły sobie one ogólne uznanie dzięki umiejętnemu kierownictwu i prawdziwie artystycznemu wykonaniu.

W rzędzie artystów śpiewaków i muzyków obojga płci, którzy chętnie i ofiarnie pospieszyli na wezwanie Komitetu, wybiła się na jedno z pierwszych miejsc p. Klementyna Koniorówna, artystka śpiewaczka, członek naszego Towarzystwa Operowego. Jej piękny głos, sopran dramatyczny o wysokiej skali i nader miłym dźwięku, zwrócił na młodą śpiewaczkę ogólną uwagę. Doskonałe



Z naszego świata artystycznego: Utalentowana artystka śpiewaczka, p. Klementyna Koniorówna.

jego wyszkolenie i głębokie odczucie wywierają na słuchaczu silne wrażenie i rokują młodej artystce, na razie tylko amatorce, piękną przyszłość czy to na scenie, czy na estradzie koncertowej. P. Koniorówna jest córką znanego i utalentowanego artysty muzyka i kompozytora, profesora muzyki i śpiewu w tutejszem Seminaryum Nauczycielskiem Męskiem, zasłużonego około rozwoju kultury muzycznej w naszem mieście.



Rozwój krakowskiej Gazowni miejskiej: Grono gości z prezyd. Federowiczem, wiceprez. Sarem i Wielgusem na uroczystości poświęcenia nowych budynków.

Do P. T. Fotografów!

P. T. Fotografów, tak zawodowych jak amatorów, upraszamy uprzejmie o nadsyłanie nam robionych przez się zdjęć ciekawszych wypadków, mogących zainteresować ogół Czytelników, celem reprodukowania ich w naszem piśmie. Do każdego zdjęcia należy dołączyć notatkę, zawierającą treściwie zebrane szczegóły, ewentualnie wskazać numer któregoś z pism codziennych, gdzie znajdowała się już odpowiednia wzmianka.

Za nadesłane nam zdjęcia, o ile nadadzą się po umieszczenia w naszem piśmie, wypłacać będziemy ustalone za wzajemnem porozumieniem honorarium, jakoteż na żądanie zamieszczać pod ryciną nazwisko lub firmę wykonawcy zdjęcia.

Nadają się do tego w szczególności obchody narodowe, towarzyskie, rocznice, zgony wybitnych osobistości i td., przedewszystkiem zaś zdjęcia, odnoszące się do senzacyjnych wypadków dnia, zaszłych w miejscu lub okolicy. Pospiech w nadsyłaniu fotografii (nie naklejanych na karton) jest wskazany.

Przesyłki upraszamy adresować: *Redakcya „Nowości Illustrowanych“, Kraków XV., ul. Kazimierza Wielkiego l. 95.*

Od Redakcyi.

Zwracamy uwagę P. T. Czytelników, że jedynie ci są uprawnieni do ubiegania się o nagrody, którzy nadeślą rozwiązania wszystkich zagadek.

Zagadki do nagrody.

Kryształówka.
Ułożyła Mania H., Nowy Targ.

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Środkowy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwę jednego ze szczytów tatrzańskich.

Znaczenie wyrazów 1. Spółgłoska, 2. Ryba, 3. Szukany wyraz, 4. Dopływ Wisły, 5. Spółgłoska.

Trójkąt magiczny.
Ułożył B. Lipski, Tarnów.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko jednego z wybitnych przemysłowców niemieckich, odgrywającego decydującą rolę w życiu politycznem swego kraju.

Znaczenie wyrazów. 1) Szukany wyraz, 2) Rzeka we Włoszech, 3) Rozkaz sułtański, 4) Część kościoła, 5) Postać biblijna, 6) Wyrażenie, oznaczające „były“, 7) Spółgłoska.

Kwadrat magiczny.
Ułożył J. Wolski, Lwów

Kwadraty i kreski zastąpić literami. Litery wstawione w miejsce kwadratów, czytane z góry na dół, podadzą nazwę ptaka, będącego symbolem odwagi i siły.

Znaczenie wyrazów 1) Miasto w Galicyi Wschodniej, 2) Rzeka we Francyi, 3) Drapieżna ryba morska, 4) Miasto w Rosyi, 5) Istota nadprzyrodzona.

Zagadka literacka.
Ułożył K. Radwański, Warszawa.

Pierwsze litery utworów wymienionych niżej pisarzy, czytane z góry na dół, utworzą nazwisko jednego z współczesnych angielskich mężów stanu.

Niemcewicz?
Kraszewski?
Krasiński?
Słowacki?
Sienkiewicz?
Rzewuski?
Jeż?
Brodziński?

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznacza Redakcya jako nagrodę: **J. Żuławskiego „Na srebrnym globie“ (powieść).**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 3.

Logogryf. J, Pac, rower, Brody, Koran, Kazań, bryka, Inn, a.

Kwadrat magiczny. Lech, Egon, Coda, Hnat.

Okienko. Warka, Robak, alkad.

Logogryf. N, San, r, wuj, Witos, Brody, rower, glina, Wacek, Gruzini.

Kwadrat magiczny. Cuno, ułan, Nagy, onyx.

Zadanie do uzupełnienia. Rota, Ezaw, doki, Ural, toga, Adam, pora, rada, Amor, Soła, yard.

Grzebieniówka. Mara, u, Soła, s, opal, l, imam, n, Idzi.

Trafne rozwiązania nadesłali: H. Obst Lwów, R. Malinowska Lublin, J. Antosz Rzeszów, K. Zakrzewski Zakopane, C. Wang Tarnów, S. Sokołowski Cieszyn, H. Mańkowska Kraków, Fr. i Br. Szypulskie Wieliczka, L. Karwowski Radom, B. Ostrowski Zabłotówa, M. Rosenberg Stryj, T. Cichocki Płock, J. Kalinowsk Gdańsk, K Panek Stanisławów, J. Wagner Nowy Sącz, W. Śmiechowski Grodno, T. Zajączkowski Warszawa, R. Osadziński Poznań, C. Kozłowski Warszawa, A. Bączewski Jawornik. W. Cichoń Łódź.

Nagrody przez losowanie otrzymali: 1) C. Wang, Tarnów (powieść); 2) R. Malinowska, Lublin (kalendarz).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: Rudolf Szenowicz. Klisze własnego zakładu. Druk D. E. Friedleina, pod zarz. L. Gronusia.